

Opinie

„Diabelski wynalazek komunizmu polegał na oddzieleniu władzy od odpowiedzialności. System nomenklatury pozwalał partii rządzić zasłaniając się administracją. Wewnętrznym problemem władzy komunistycznej w Polsce była bezsiła administracji wobec gospodarczych problemów kraju, których nie można już było rozwiązać siłą. (...) Odziedziczyliśmy po komunizmie aparat państwowy w stanie rozkładu. I oto staje przed nami pytanie, czy można ten zastany aparat przebudować. Jest nam dzisiaj potrzebna budowa niepodległego państwa, budowa jego administracji zorganizowanej w ten sposób, by mogła być regulatorem życia społecznego, nie pretendując do ingerowania we wszystkie jego przejawy”

Czesław Bielecki



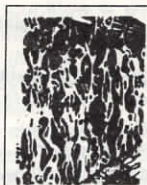
Józef
Mackiewicz
Błędy...

str. 3-5



Fundacja
Wschodnia
- wywiad

str. 6



Bracia
Nasi:
Litwini

str. 8-9

SOLIDARNOSC WALCZĄCA



DWUTYGODNIK NR 9-10 (277-278) ROK X 15.04 - 14.05 1991 r., cena 1500 zł

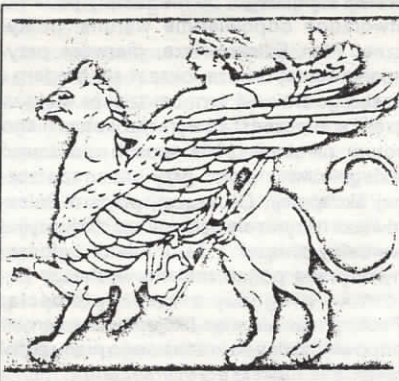
Jaki jest sens bycia antykomunistą?

„Jaki jest sens bycia antykomunistą - pytacie - po upadku komunistów w Europie Wschodniej, po runięciu Berlińskiego Muru?” I dodajecie: „gdy nikt już więcej nie twierdzi, że jest komunistą”.

Cudzoziemiec taki jak ja nie może nie zauważyć, iż w powyższym pytaniu założony jest pogląd, który, niestety, nie wydaje się prawdziwy w odniesieniu do wszystkich krajów, również tych leżących w Europie Wschodniej, gdzie komunizm został ustanowiony pod patronatem Armii Czerwonej. Są bowiem jeszcze państwa, na przykład Kuba i Chiny, pozostające nadal pod ścisłą kontrolą ortodoksyjnych marksistów-leninistów. Nie powinniśmy także zapominać o istnieniu organizacji o charakterze frontów, jak Sandiniści w Nikaragui, SWAPO w Namibii czy Afrykański Kongres Narodowy w Afryce Południowej. Niezależnie od tego, czy przywódcy powstrzymują się od określania swoich organizacji jako komunistyczne, czy też przedstawiają je jako niekomunistyczne, a także bez względu na to, czy charakter komunistyczny nadany był im od samego początku - wszystkie organizacje z całą pewnością są obecnie kontrolowane przez komunistów. („Fronty to zawsze fronty!” jak zauważył jeden z moich starych przyjaciół anty-bolszewików

na pierwszą wiadomość o rumuńskim Narodowym Frontie Ocalenia. I niestety miał rację).

Stwierdziwszy powyższe, musimy następnie zapytać się, coż niewłaściwego tkwi w marksizmie-leninizmie. Czy jest to tylko coś, co można by rozważać wyłącznie w kategoriach środków - wszechobecne, wszechkontrolujące państwo z „wiodącą rolą” nieustannej partii - czy też jest to także cały projekt socjalizmu? Gdyby w jakimś



kraju większość - niekoniecznie nawet wszyscy ludzie przyznający się kiedyś do komunizmu - odrzuciła te środki i ten cel, wówczas istotnie trudno byłoby znaleźć sens pozostawania czynnym antykomunistą. (Byłoby to podobne, a także równie bezcelowe, jak podjęcie misji nawracania w kraju, w którym wszyscy nawrócili się już na swoją religię.)

Ale czy rzeczywiście mamy obecnie do czynienia z sytuacją, w której wszyscy byli komuniści (lub bodaj większość z nich) odrzucili człkowie i ostatecznie swoje dawne poglądy i ideały? Czy wszyscy (lub choć większość z nich) zaangażowali się w konsekwentną rekonstrukcję swych światopoglądów? Polscy czytelnicy będą wiedzieć lepiej niż ja, czy tak właśnie jest w ich kraju. Ja natomiast mogę ich zapewnić, że z całą pewnością nieprawda, jeśli idzie o prokomunistycznych intelektualistów i polityków w Wielkiej Brytanii, USA czy Szwecji. Nie znam wśród nich żadnego, który pod wpływem ostatnich doniesień z Europy Wschodniej czy ZSRS zacząłby żałować swego gorącego poparcia dla ekspansji komunizmu w Afryce, Azji i Ameryce Łacińskiej, albo też przestałby potępiać tych wszystkich, którzy przeciwstawiali się ekspansji.

Mój własny domysł, który poddaję korektom mych lepiej poinformowanych polskich przyjaciół, podpowiada mi, że większość intelektualistów głoszących obecnie odrzucenie komunizmu, a związanych z nim poprzednio raczej z pobudek idealistycznych niż cynicznie interesownych, przypomina swych poprzedników z wcześniejszego pokolenia, którzy głosili odrzucenie stalinizmu, pozostając nadal komunistami lub prokomunistami. „Stalinizm” stał się w ten sposób terminem mętnym i opartym na nadużyciu, rozgrzeszającym te wszystkie praktyczne cechy komunizmu, których nadużywający tego terminu nie byli już zdolni bronić, lecz które bez uzasadnienia uznali za

cd. str 2

„wypaczenia”, „błędy”, nieistotne dla socjalistycznego projektu.

Projekt ten, tak jak przedstawiają go najszerszej rozpowszechnione dzieła marksistowskich klasyków - *Manifest Komunistyczny* oraz *Socjalizm: utopijny i naukowy* - opowiada się za całkowicie scentralizowaną gospodarką nakazową, w której słowami artykułu IV Statutu brytyjskiej Labour Party - „wszystkie środki produkcji, dystrybucji i wymiany” są własnością kolektywną. Obietnica, zgodnie z którą urzeczywistnienie socjalistycznego projektu - poprzez usunięcie „okowów”, jakie rzekomo na produkcję nałożył kapitalizm - otwórzę wiek obfitości, została obecnie okrutnie zdemaskowana jako iluzja samooszustwa; i taką iluzją w istocie zawsze była. Antykomuniści muszą wszakże nadal przekonywać innych, że zadaniem co najmniej

niestęchanie trudnym, a najprawdopodobniej praktycznie niemożliwym, byłoby połączenie tego autorytarnego projektu ekonomicznego z wolą, pluralistyczną i demokratyczną polityką.

Fascynacja przynoszącą ruinę i, chciałoby się mieć nadzieję, dziś już powszechnie zdyskredytowanym ideałem wyjaśnia w sposób raczej łagodny gorliwość, z jaką tak wielu rzekomo demokratycznych socjalistów omija bądź też usprawiedliwia zło „realnego socjalizmu”. Mniej łagodnie, lecz, jak podejrzewam, znacznie bardziej wyczerpujące wyjaśnienie jest takie, iż ludzie ci, gdyby tylko stać ich było na szczerość równą ich towarzysza-socjalisty J.K. Galbraitha, potwierdzili jego pogląd wypowiedziany w cieniu Muru Berlińskiego: „Nie przywiązuję szczególnej wagi do wolności” (I am not particular about freedom).

Dopóki są tacy socjaliści, dopóty będzie istniała potrzeba, aby antykomuniści wykazywali praktyczną i teoretyczną niemożność pogodzenia socjalizmu z wolnością. Zapewne socjalistów takich w Anglii jeszcze długo nie braknie. Uniwersytet Oksfordzki, na przykład, który ostentacyjnie odmówił uhonorowania swej najznakomitszej absolwentki, antykomunistki i antysocjalistki, Margaret Thatcher, przyznał ostatnio honorowe tytuły dwóm osobistościom znacznie bliższym swemu politycznemu gustowi - zwolennikowi Afrykańskiego Kongresu Narodowego arcybiskupowi Tutu oraz profesorowi Galbraithowi.

Anthony FLEW



WIZJA, KTÓREJ NIE MA

Wydaje się, że te zmiany, w których uczestniczymy, zostały zaplanowane przez układ komunistyczny, gdy zaczęła mu się walić na głowę rzeczywistość społeczna i gospodarcza. Przez dogadanie się z elitami solidarnościowymi ludzie, którzy uprzednio w oparciu o władzę mieli pieniądze, teraz w oparciu o pieniądze i zagrabiony majątek narodowy sprawują sporą część realnej władzy. Dziś sytuacja polityczna i gospodarcza Polski jest coraz gorsza. Nad Polskę nadciągają ciemne chmury.

Najważniejszy dla Polski jest pośpiech na drodze ku pełnej niepodległości i demokracji. Zmarnowany został czas wyjątkowej koniunktury politycznej, który już nie wróci. Kończy się etap łatwych przekształceń, które nie napotykały sprzeciwu ani wewnątrz, ani na zewnątrz kraju. Pierestrojka przeistacza się w pierestriektę. Rosja wrze. Oczywiście można powiedzieć: niech tam dzieje się co chce, my idźmy swoim spokojnym kursem. Ale to się nie uda. Zbyt jesteśmy jeszcze uzależnieni od tamtego układu - militarnie, politycznie i gospodarczo, a obecni przywódcy nie mają dość woli i odwagi, by się uwolnić. Jeśli dojdzie do stanu wojennego na Wschodzie, a potem do włączenia się Sowietów w wojnę nad Zatoką Perską po stronie Arabów, to nawet nie będzie wiadomo, po której stronie stoi Polska.

Nie wolno dłużej zwlekać z wyborami do parlamentu, z przyjęciem rzeczywistej kontroli nad wojskiem rządzonym wciąż przez generalicję z nominacji Moskwy. Nie wolno czekać z ostatecznym rozliczeniem się z systemem komunistycznym. Trzeba zburzyć ten okrągłostołowo-magdalenkowy układ ochronny. Czy szansa, na którą czekaliśmy i do której sposobiliśmy się 45 lat ma zostać zaprzeczona?

Przecież w Polsce nie trzeba nawet zawiązywać jakiegoś anonimowego Komitetu Ocalenia Narodowego jak w republikach bałtyckich, taki komitet istnieje.

Jest nim ten parlament, złożony w większości z dawnych sił. Tymczasem wybrany w prawie demokratycznych wyborach prezydent odsuwa termin wyborów do Sejmu i Senatu. Gdzie my żyjemy? Skandalem i działaniem wbrew naszym narodowym interesom jest nieuznawanie niepodległości Litwy. Przecież Lech Wałęsa w kampanii wyborczej obiecywał wprost to uznanie! W ten sposób stajemy się współodpowiedzialni za tragedię Litwinów i ułatwiamy Sowietom rozgrywanie ich partii.

Jesteśmy na pienierskiej drodze przechodzenia z systemu komunistycznego do demokratycznego, rynkowego państwa prawa. To droga trudna i niebezpieczna. Myślenie, że najpierw poprawi się gospodarka, a dopiero później spokojnie przeprowadzimy wybory, jest złudzeniem, bo po pierwsze ta gospodarka wcale nie ma zamiaru się poprawiać, a po drugie nie poprawia się dlatego, bo nie zostały po temu stworzone odpowiednie warunki polityczne. Plan Balcerowicza, pierwsza próba na tej drodze, okazał się błędem i trzeba go zmienić, tym bardziej że większa część społeczeństwa wyraziła wobec niego votum nieufności. Nie sposób realizować jakiegokolwiek planu przy braku społecznej akceptacji. Co więcej, planem Balcerowicza nazywa się dziś coś, co ma już tylko werbalny związek z założeniami ogłoszonymi przed ponad rokami; wystarczy porównać prognozy z rzeczywistością. Podtrzymuje się więc fikcję. A wicepremier odpowiedzialny za krach swego planu pełni faktycznie funkcję premiera rządu.

Być może zmiany będą musiały zostać wymuszone społecznym sprzeciwem czy buntem. I nie bałbym się tego buntu, jeśli miałby on doprowadzić do rzeczywistego przybliżenia demokracji i niepodległości. Niedługo wszystko może zostać zablokowane zewnętrznym układem wokół Polski. Świadomość, że na Wschodzie doszły do głosu czołgi i karabiny, słumi

aspiracje ludzi, nie pozwoli ujawnić się energii koniecznej, by wymusić przemianę. Wizja, którą przedstawiali nam konstruktorzy okrągłego stołu, jest pusta. Gdzie ta obiecana prosta, ewolucyjna droga, która miała bezpiecznie doprowadzić nas do celu?

Polacy są dziś sfrustrowani, zawiedzeni w oczekiwaniach. Pomieszały się nam języki, spleły autorytety, upadły symbole. Pamiętamy - nie będzie cudownego programu. Będzie walka i praca; odwaga i myślenie. Gdyż jakkolwiek byłoby ważne różne organizacyjne modele i ich realizacja w całym bogactwie naszej społecznej i narodowej egzystencji, jeszcze ważniejszy będzie wybór wartości, za którymi się opowiemy, które uznamy za swoje. I tu właśnie mamy szansę przeskoczyć kraje dziś jeszcze tak bardzo wyprzedzające nas w pochodzie cywilizacyjnym. Może już niedługo będziemy mieli za sobą - jak zły sen - okres komunizmu. Przełamanie tego systemu powinno dać nam poczucie zwycięstwa, rozpęd do działania. Powinniśmy w ten nowy czas wolności przenieść ideę solidarności. Inaczej, na nowo spojrzeć na samych siebie. Czego pragniemy i czego pragniemy - czy posiadania rzeczy, użycia i konsumpcji, czy rozwoju świadomości, wiedzy, uczestnictwa, twórczości materialnej i duchowej?

Takie samookreślenie się, taki wewnętrzny wybór, poparty wolą i zbiorowym wysiłkiem, pozwoli nam w przyspieszonym tempie wejść w nową, informatyczną erę rozwoju, nadążyć za XXI wiekiem.

Kornel MORAWIECKI

/tekst napisany dla wrocławskiego miesięcznika „Odra”/



Błędy których się nie widzi

Mickiewicz, który tak miłował Litwę i jej przyrodę, był z nią właściwie kieszonko obeznany. Istotnie, ani „bukom buki” nie mogły przekazywać echa, gdyż buki na Litwie nie rosną. Ani „rogi jelenie” nie mogły zajaśnieć jak promienie w puszczy litewskiej, gdyż jeleni na Litwie nie ma i nie było. Podobnych błędów jest w „Panu Tadeuszu” sporo. Ale rzecz ciekawa: przeciętny czytelnik jest zazwyczaj niespostrzegawczy! Każdy pozwala sobie krytykować styl, język, gramatykę czytanej książki; rzadko który widzi błędy rzeczowe.

Powieść Gołubiewa o Bolestawie Chrobrym cieszy się dużą popularnością zarówno w kraju jak na emigracji. Mnie osobiście ta powieść razi. Wydaje się przede wszystkim, że sama postać Chrobrego jest trochę splagiatowana z „Piotra Wielkiego” Aleksieja Tołstoja. Poza tym wieczne klepanie po kolanach i żywa gestykulacja osób przypominają raczej naród zamieszkały nad wybrzeżem Morza Śródziemnego niżli w głuchych puszczech, gdzie ruchy były oszczędne, zapewne ospałe, a wygadanie rzadkie. Ale to są oczywiście rzeczy sporne, natomiast za rzecz bezsporną uważam, że autor nie powinien był jednemu z tomów swego cyklu nadawać np. tytułu „Puszcza”, gdy o puszczy nie ma on pojęcia. Np.: ludzie ścięli gałęzie lasu, podpalili, a te zapłonęły olbrzymim płomieniem. Akurat! Takie świeżo ścięte gałęzie na to żeby płonąć, muszą dobre kilka miesięcy przedtem suszyć się na słońcu. Drzewa też, zdaje się, spalono, a tylko „olbrzymy leśne” zachowano na budowę chat. Co za nonsens; w czasie gdy nie było pił mechanicznych, a nawet pił w ogóle, tylko bardzo niedoskonałe siekiery, ktoś by się chciał porać (i czy by się uporał) z olbrzymem leśnym, a w ogóle po co? To dobre jest dla współczesnych tartaków na deski, ale nie na chaty z okrągłaków. Wyobraźmy sobie tylko wyrzucenie takiego pnia, całą niecelowość jego obrabiania gdy są pod ręką właśnie drzewa mniejsze i łatwiej dające się obrobić. Dalej, według Gołubiewa, człowiek tonący po pas w błocie, a trzęsawisku dochodzi bardzo szybko do celu. Ile kilometrów na godzinę może zrobić człowiek tonący po pas w błocie? Czy raczej metrów? Albo: dzik żywiący się mięsem...

O ile sobie przypominam, szczególnie liczne są sprzeczności rzeczowe u Lwa Tołstoja. Na przykład o tym samym dniu pisze raz, że był trzaskający mróz, drugi raz - że była odwilż. W „Martwych duszach” skrupulatnego Gogola, Cziczikow w drodze do Maniowa zabłądził w deszcz i burzę, i dopiero o 2-ęj w nocy dotarł do majątku

Koroboczki położonego w dalekiej głuszy. Cóż się jednak dzieje nazajutrz? Cziczikow wstaje o dziesiątej. Myje się, ubiera i idzie na herbatę. Później kłóci się z gospodynią o sprzedaż „martwych dusz”, aż biją na niego wszystkie poty. Sądząc po przebiegu rozmowy, nie mogło to trwać krócej niż godzinę. Później zasiada do pisania umowy. W tym czasie przygotowuje się obfite jadło. Cziczikow zasiada do stołu i zjada najróżniejsze wiatrunki, bliny i pierogi. Gdy wreszcie wyjeżdża, stwierdza, że droga jest podmokła wskutek wczorajszej burzy, i koła grzęzną w błocie tak że bryczka z trudem się porusza. I...już w południe jest w karczmie na wielkim trakcie. Kiedy?! Na wszystko to razem, łącznie z wydotaniem się z tej zapadłej głuszy, starczyło mu dwóch godzin od chwili przebudzenia?!...

Dalej: był opis burzy z piorunami, później piękny opis zieleniejącego sadu u sknery Pluszki. Ale nazajutrz, w mieście. Cziczikow wkłada szubę na niedźwiedziach i czapkę z nausznikami. I Maniów też przychodzi do niego podobnie ubrany.

W „Trylogii” Sienkiewicza spotykamy mnóstwo fragmentów zgoła nieprawdopodobnych. Zagłoba wyzwalając się ze sznurów, którymi przywiązano go do własnej szabli, ze strachu rąbiący Kozaków, wyczyny Podbiptę i t.p. Wiele z tych przesadnych nieprawdopodobieństw budziło już nieraz pobłażliwe uśmiechy. Natomiast jeżeli chodzi o rzeczy nie tylko nieprawdopodobne, ale wręcz fizycznie niemożliwe, uchodziły one powszechnej uwagi. Szczególnie nie mógł sobie Sienkiewicz poradzić z budową konia i jego długością. Oto fragment porwania księcia Bogusława: dwóch ludzi uchwyciło raptownie Bogusława pod ręce z boków i pędziło przodem w trzy konie rzędem, Kmicic zaś z tyłu, od czasu do czasu przytykając łufę krucicy między topatki porwanego Bogusława, czyli środkowego jeźdźcy w rzędzie. Jakim sposobem? Wprostej linii Kmicic miałby następującą odległość: przednią część własnego konia, tylko połowę konia Bogusława, plus konieczny odstęp pomiędzy galopującymi jeden za drugim końmi. W ten sposób, ażeby dosięgnąć siodła pleców Bogusława, musiałby użyć raczej długiej piki, a nie mógł tego uczynić w żaden fizyczny sposób przy pomocy krucicy, nawet o najdłuższej łufie.

To samo zadanie z długością tułowia końskiego fatalnie rzewiało Sienkiewicz w opisie walki z oddziałem szwedzkim w wozie podczas eskortowania Jana Kazimierza. Tekst mówi że wąwoz był szeroki zaledwie na trzy konie w rzędzie. Kmicic z dwoma Kiełmiczmi po bokach wypełniał go całkowicie, walcząc kolejno tylko z trzema



Józef Mackiewicz
1902—1985

Szwedami od frontu. Natomiast stary Kiełmicz, który już nie mieścił się w rzędzie, wysuwał z tyłu pod łokciami walczących swój rapier i cofał go za każdym razem zbroczony krwią. Nonsens. Bo znowu: w prostej linii miałby przed sobą pół długości poprzednika i wreszcie pół długości szwedzkiego konia, czyli dwie długości końskie, ażeby dosięgnąć Szweda. Nawet biorąc pod uwagę że w walce konie przeciwników wzajemnie się o siebie zazębiały, nigdy długość rapiera jeźdźcy jadącego z tyłu nie wystarczałaby do takiej manipulacji!

Pozwolę sobie w tym miejscu na małą dygresję. Nieporadność Sienkiewicza w operowaniu koniem i szablą, w powieści wypełnionej czynami konia i szabli, jest charakterystyczna dla tego okresu naszych pojęć o wojnie. Są to pojęcia wujaszka z brzuszkiem i w spodniach w paski; takiego jakiego pamiętam sprzed r. 1914, gdy mawiał, dziarsko zacierając ręce: „No co, chciałbyś być księciem Józefem Poniatowskim, hej?” - i przynosił szabelkę ze sklepu zabawek na Boże Narodzenie. Sienkiewicz nieznajomość rzemiosła zastępował chwytami nieraz cyrkowymi w rodzaju furkoczącego, jak tarcza propellera, młyńca Wołodyjowskiego, i takich cięć, które przeistaczały szablę w różdżkę czarodziejską. Te jej właściwości potwierdzała następnie nie tylko lektura książek Walerego Przyborskiego, ale przede wszystkim sztuki teatralne dla młodzieży, w których walczący na scenie zaledwie dotknął (a może nawet i nie!) przeciwnika końcem szabli, a ten już padał martwy na deski. Wychowanie w takiej nieco tromtadrackiej „kadrze” nie mo-

gło oczywiście stworzyć niczego fachowego. Toteż kawaleria polska w r. 1920 czyni swoje opierała nie na polskiej, ale na austriackiej, pruskiej, a przede wszystkim rosyjskiej tradycji kawaleryjskiej. To trzeba sobie powiedzieć.

Załuję że nie omawiałem pięknej książki Miłosza „Dolina Issy”. Nie najważniejszy ale niewątpliwie jej walor polega m.in. na tym że napisana jest prawie bezbłędnie. O ile mogę sądzić na podstawie włansey wiedzy, wszystkie odległości i okoliczności, język i zwyczajne, gatunki traw, drzew, zwierząt i ptaków, wszystko w tej powieści odpowiada najdokładniej rzeczywistości. Niwątliwie niewielu, a może nawet żaden z czytelników nie dostrzegłby omyłki, gdyby Miłosz fałszywie opisał tak rzadkiego u nas ptaka jak orzechówka. Ale orzechówka też jest bezbłędna. I oto nawet w tej książce, gdzie zdawałoby się, nawet każda spód hebla wyrzucona strużyna leży na właściwym miejscu - raptem: Baltazar celuje z karabinka z odciętą lufą, czyli z „obrezu”, i bierze na muszkę... Jaskrawy błąd! Bo skoro karabin ma odciętą lufę, to oczywiście nie może posiadać muszki. „Obrezy” były bez muszki i celowano z nich na oko wzdłuż lufy. Nawet gdyby ktoś chciał nasadzić na koniec obciętej lufy nową muszkę, nie miałyby ona znaczenia a rzeczej myliłaby celność, wobec zmienionej długości lufy.

Ale czy podobne błędy są do ominięcia? Czy pisarz może znać i pamiętać wszystko na świecie? Jules Verne opisał mnóstwo krajów, których nigdy nie widział na oczy i lepiej że pisał książki z błędami, niż gdyby ich wcale nie miał pisać. Gorzej natomiast gdy ktoś usiłuje odtworzyć dokładnie epokę historyczną. Najgorzej jednak gdy ktoś łże w utworze pamiętnikarsko-dokumentarnym. Czytałem kiedyś relację zesańca do Sowietów, który opisywał salę gdzie w nocy leżało na podłodze tyle ludzi głowa przy głowie, że nie podobna było przejść nie następując na nich. Autor tej relacji twierdzi że gdy zmierzzał do kubła w rogu sali, stąpnął komuś na głowę, rozcisnął czaszkę że tylko mózg wypłynął i poszedł dalej za swoją potrzebą. Dodał jeszcze w formie pouczenia że tego rodzaju wypadków zdarzało się więcej podczas jednej nocy. Ejże? Szkoda że przed na pisaniem tego wspomnienia nie zasięgnął opinii kogoś z fachowców, który by mu powiedział że czaszka dorosłego człowieka nie da się rozdeptać pod stąpnieniem jak purchawka.

To są drobne przykłady. Mnożyć je, czerpiąc z literatury światowej, sądzę, można bez końca. Dlaczego w większości wypadków ta masa błędów rzeczowych przechodzi prawie albo zupełnie niezauważona? Odpowiedzi może być naturalnie dużo: że nie o to przecież chodzi! Że literatura, że poezja, to nie suchy podręcznik! Że czytelnik szuka w utworze czegoś bardziej ogólnego, niż szczegóły i szczególnie powszedniości i t.d. i t.p. Wszystko to racja. Wydaje mi się jednak że ponad tymi racjami jest jeszcze jed-



na, nadrzędna, mianowicie - magia słowa. Pozornie brzmi banalnie. Ale...

Sięgnę po inny przykład z dziedziny zaledwie pokrewnej. Znamy masę miłośników t.zw. kresów. Bardziej dużą ilość znawców i rzeczoznawców od gwary kresowej. Lubują się oni we wskazywaniu jej właściwości, specyficznej gramatyki i stylistyki. Uważam że mają rację tylko częściowo. Jestem bowiem zdania że 80 procent t.zw. gwary kresowej, to są pospolite rusycyzmy. Weźmy taki fragment, jak odpowiedź chłopca zapytanego o odległość: „A będzie tyle to, może z hakiem”... Ten „hak” występuje w większości opowiadań i wspomnień kresowych. Zakorzenił się już w literaturze. Uchodzi za coś ultra swojskiego; żartuje się o nim że tradycyjnie jest dłuższy od wskazanych kilometrów. Tak już ta „droga z hakiem” nieodłączna się stała od wszelkiej miary długości na przykład na Wileńszczyźnie. Otóż zadałem sobie nie dawno trud zapytania wielu z moich współziomków „kresowych”, nie żadnych tam dyktantów „robiących” w rzeczoznawstwie wielkoliteńskim, ale z krwi i kości synów Wielkiego Księstwa: jakie jest pochodzenie słowa „z hakiem”? Ani jeden z nich nie widział iż jest to po prostu zwyczajne, rosyjskie słowo: „gak, s gacom - z okładem, z górą, przeszło”. Wydaje mi się, że w tej nieświadomości rzeczy oczywiście działa i w tym wypadku - magia słowa; pewne wyszkolenie w umownej tradycji, większe przywiązanie do literatury niż do rzeczy, do

pryzmatu przez jaki się patrzy, niżli do przedmiotu.

Wielki uczony rosyjski, Pawłow, pierwszy uszeregował te zjawiska, podnosząc je do poziomu wiedzy. Pawłow rozróżnia tzw. układy sygnalizacyjne działające w człowieku, z których wszelako pierwszy, tzn. sygnalizujący własne spostrzeżenia bezpośrednio, rzeczy i faktów, może ustąpić tego pierwszego miejsca temu drugiemu układowi sygnalizującemu pod wpływem długoletniego ćwiczenia, powtarzania, nawyku i t.d., a mianowicie - słowom. Wtedy rzecz sama w sobie staje się mniej ważna od słów w jakie się tę rzecz ubiera. A czasem w ogóle mniej ważna nawet od pustych słów.

Bolszewicy nie tylko czerpali z teorii Pawłowa pełnymi garściami. Można by rzec, że na jego odkryciu oparli działanie całego systemu. Wielokrotnie słyszałem odpowiedź, że bolszewicy nie dokonali żadnego wynalazku, że to wszystko są stare kawały i „rosyjskie bagnety”. Niczego takiego specjalnego rzekomo nie stworzyli. Oczywiście stworzyć, w pełnym znaczeniu, może wyłącznie Bóg, a nie człowiek. Człowiek może jedynie wyrabiać, urabiać, kształtować nowe rzeczy ze starych, już istniejących. Ani samolot odrzutowy, ani bomba atomowa nie wzięły się z niczego. Tak samo teoria Pawłowa nie stworzyła ale ujawniła zaledwie pewną cechę psychiczną człowieka. A bolszewicy postanowili ją tylko rozwinąć, dać jej praktyczne zastosowanie dla własnych celów, zaprząć do roboty, jak



się od wieków zaprzęgało konia, a później motor. I zrobili ogromny krok naprzód w tej dziedzinie.

Ich „błędy rzeczowe” są o wiele bardziej jaskrawe niż cytowane przeze mnie w literaturze. To, że Beria np. był od początku tylko agentem angielskim, jest rzeczą bardziej niż nieprawdopodobną, ale do jakiego stopnia sam fakt nieprawdopodobieństwa nie jest ważny, dowodzi szeregiem innych, już nie tylko nieprawdopodobnych, ale zgoła niemożliwych. Wystarczy przypomnieć procesy moskiewskie z końca czwartego dziesięciolecia. Jeden z oskarżonych miał być agentem Gestapo w okresie gdy Gestapo jeszcze nie istniało. Drugi mieszkał w wymienionym z nazwy hotelu kopenhaskim w czasie gdy hotel ten nie był jeszcze zbudowany. I t.p. i t.p. Kto zna sprawę Katynia, ten wie, że główne sklepienie sowieckiej wersji opiera się właściwie na jednym świadku, obywatelu Moskowskiej ze Smoleńska, która przed komisją zeznaje co jej opowiadał niejaki Jegorow. Ale w urzędowym tekście raportu tej komisji Jegorow opowiadał w marcu co było w kwietniu... Te rzeczowe błędy nawet nie wprawiły bol-

szewików w zakłopotanie. Oni wiedzą od Pawłowa, że przy pewnym drylu, nawyku i powtarzaniu, słowa stają się ważniejsze od faktów.

Na zakończenie tych luźnych uwag chciałbym pozwolić sobie jeszcze na pewną aktualną dygresję, a mianowicie na temat antysowieckiej propagandy w ogóle, a radiowej w szczególności. Są ludzie, którzy twierdzą że nie jest ona potrzebna, a są nawet tacy, którzy twierdzą że jest szkodliwa. Tymczasem propaganda ta jest nie tylko jedyną rzeczą, która nam w walce z bolszewikami pozostała, ale w ogóle (chyba tylko poza wojną autentyczną) - rzeczą główną, właśnie przez operowanie słowem, które stanowi skuteczną odtrutkę na „magię słowa” tamtej strony. Umiejętna kontrpropaganda, to operowanie kontrargumentami. Niedawno w czasopiśmie „Der Europäische Osten” zabrał głos pewien Czech, który dowodził, że żadnych argumentów antykomunistycznych nie potrzeba, że wystarczy ograniczyć się do wychwalania Zachodu: „A że pod komunistami jest źle, o tym sama ludność wie lepiej niż my tutaj”. Jest to całkowicie

zlekceważenie teorii Pawłowa, na której bolszewicy zrobili karierę. Jest więc zarazem błędem zasadniczym opartym na nieznaności psychiki ludzkiej. Same fakty nie wystarczają, a czasem nawet nie dochodzą do świadomości człowieka nawykłego do wyobrażania sobie rzeczy w słowach. Na fakty są zresztą argumenty propagandy komunistycznej, a pozostawione bez kontrargumentów potęgują tylko tę „magię”, tę potęgę nieodpartą słowa. Że ktoś wie, to mało. Trzeba mu jeszcze wyjaśnić i przekonać go o tym, że wie. Inaczej może nie zauważyć, jak się nie zauważa błędów rzeczowych w literaturze albo zgoła - nie chce zauważać, jak to czynią ludzie, którzy wolą dać się przekonać argumentom komunistycznym, ażeby móc „uczciwie” z nimi współpracować, niżli robić to z ciągłym, moralnym niesmakiem, że się robi wbrew własnym przekonaniom. Gdyby dziś nie było „Voic of America”, „B.B.C.”, „Free Europe”, Madrytu i t.d. bolszewizacja krajów za żelazną kurtyną poczyniłaby niewspółmiernie większe postępy.

Wiara większości emigracji że naród, pozostawiony sam sobie i wystawiony na działanie słowa, i to nie w postaci takiego, jak za czasów dziadów i pradziadów, a w postaci zgęszczonej do niemożliwości, w gazetach, książkach, radio, kinie, teatrze, telewizji, odczytach i niezliczonych masówkach, poddany skompensowanemu ciśnieniu bolszewickiego słowa, pozostanie taki jaki był przed dziesięć lat i że te wszystkie słowa spłyną z niego jak z przystawionej gęsi woda, byle ustąpiły „rosyjskie bagnety” - wydaje mi się nie tylko daleko posuniętą naiwnością, ale raczej właśnie dowodem, jak sugestia mechanicznie powtarzanych słów działać może wbrew oczywistym faktom rzeczowym, które w naszych oczach zdają się gromadzić czarno na białym.

Nie, chyba rację mieli ci co już w r. 1904 uwieńczyli prof. Pawłowa nagrodą Nobla za jego odkrycia w dziedzinie psychologii.

Józef MACKIEWICZ

22 stycznia 1956.

(Artykuł Józefa Mackiewicza po raz pierwszy publikowany w kraju przedrukujemy za antologią prozy „Wiadomości na Emigracji” 1940-1962, wydaną przez Polską Fundację Kulturalną w Londynie w 1968 roku/

DZIĘKUJEMY

SW Ateny 100\$, Pawłowi
Zawadzkiemu za odbitki ksero,
Przemowi Zwiernikowi za wywiad,
Mieczysławowi Bonie za nadesłane
materiały, M.B.- Prusowi za mił list,
Czytelnikom za listy

UWAGA

Redakcja pisma „Dwa Dni” poszukuje kolporterów na terenie całego kraju. Dla ludzi obrotnych - znakomite zarobki. Kontakt: Wrocław, ul. Kotlarska 41, tel. 382-36

"WIELKOPOLSKA ZAWSZE INTERESOWAŁA SIĘ KRESAMI WSCHODNIMI"

- Rozmowa z Wojciechem Sawickim - Prezesem Wielkopolskiej Fundacji Wschodniej.

Red:- Kiedy narodziła się idea powołania Wielkopolskiej Fundacji Wschodniej?

W. Sawicki:- Trudno dokładnie określić kiedy zrodziła się sama idea, ponieważ na terenie Poznania i Wielkopolski zawsze istniały środowiska społeczne interesujące się losem Polaków pozostałych po II wojnie światowej w Związku Sowieckim. Jednakże na pewno przyczyną przyspieszającą powołanie fundacji była brutalna interwencja wojsk sowieckich na Litwie w styczniu tego roku. Wtedy grono moich znajomych zwróciło się do mnie z prośbą o to, czy nie zechciałbym objąć funkcji prezesa Fundacji i podjąć się koordynacji jej działań.

Red:- Co ostatecznie zdecydowało, że zgodziłeś się przyjąć funkcję prezesa?

W.S.-: Zgodziłem się na tę propozycję ponieważ wychowałem się w północno-wschodniej Polsce, dokładnie w Sejnach, gdzie krzyżowały się wpływy kultury polskiej, litewskiej, a również żydowskiej. Sam jestem absolwentem historii na Uniwersytecie Poznańskim i podczas studiów żywo interesowałem się problematyką litewską - tematem mojej pracy magisterskiej był proces powstawania litewskiej świadomości narodowej w świetle XIX-wiecznej prasy wielkopolskiej. Te fakty z mojej biografii zadecydowały, że zgodziłem się objąć tę zaszczytną funkcję. Pod koniec stycznia zebrała się Rada fundatorów i to gremium, obdarzając mnie dużym kredytem zaufania, obrało mnie prezesem Fundacji.

Red:- Dlaczego Fundacja przyjęła taką nazwę?

W.S.-: Z jednej strony chcieliśmy podkreślić geograficzny zakres naszych zainteresowań - pomoc Polakom zamieszkałym z Związku Sowieckim. Celem naszej organizacji jest pomoc nie tylko środowiskom polskim na Litwie, Białorusi i Ukrainie lecz także tym, które zamieszkują odległe republiki azjatyckie ZSRS. Z drugiej natomiast strony chcieliśmy podkreślić fakt, że Wielkopolska zawsze interesowała się Kresami Wschodnimi.

Red:- Jakie cele stawia sobie Wielkopolska Fundacja Wschodnia?

W.S.-: Na pierwszym posiedzeniu Rady Fundatorów został przyjęty statut i po бурliwej dyskusji opracowaliśmy koncepcję naszej działalności. Mamy zamiar udzielać bezpośredniej pomocy Polakom zamieszkałym w Związku Sowieckim, lecz zdajemy sobie sprawę, że podobne działania podejmuje szereg osób i organizacji w kra-

ju. Pragnęlibyśmy, żeby pomoc świadczona przez Fundację miała własne, oryginalne oblicze. Chcemy poprzez fundowanie stypendiów pomagać Polakom tam zamieszkałym w kształceniu się w Polsce. Zamierzamy stworzyć coś na kształt Fundacji Kościuszkowskiej, która od wielu lat funkcjonuje w USA. Chcielibyśmy pomagać naszym rodakom, którzy pragnęliby uczyć się w Polsce nie tylko na poziomie szkolnictwa wyższego, lecz i średniego.

Red:- W jaki sposób funkcjonowałyby ten fundusz stypendialny?

W.S.-: Jeżeli np. znalazłby się ktoś, kto dysponuje odpowiednim zasobem pieniędzy i chciałby ufundować stypendium nazwane np. jego imieniem i nazwiskiem na jakimś wybranym przez siebie kierunku, to zadaniem naszej fundacji jest podjęcie wszelkich kroków organizacyjnych i prawnych, które zamiar takiego ewentualnego sponsora wcieliłby w życie. Tak więc nie byłoby to stypendium Wielkopolskiej Fundacji Wschodniej lecz konkretnego, indywidualnego fundatora. My chcemy tylko koordynować działania w tym zakresie.



Red:- Na jakim etapie budowy jest system stypendialny Fundacji?

W.S.-: Nawiązaliśmy już pewne kontakty z Polakami żyjącymi w Związku Sowieckim. Ze względów politycznych nie chcemy bezpośrednio działać na terenie ZSRS. Znaleźliśmy grupę sponsorów z Wielkopolski, którzy zaoferowali nam swoją pomoc finansową. Opracowaliśmy też system rekrutacji. Ustaliliśmy w nim, że priorytet będzie przyznawany osobom, które chciałyby studiować pedagogikę i ekonomię. I przyznaliśmy już pierwsze stypendium na Akademii Ekonomicznej.

Red:- Jakie są inne przejawy działalności fundacji?

W.S.-: Opatuliliśmy transport leków na Litwę. Ponadto zamierzamy wspomagać finansowo publikacje naukowe poświęcone dziejom Polaków na Wschodzie. Oprócz tego planujemy organizowanie krótkich kursów dla rodaków stamtąd, którzy zamierzają podjąć działalność gospodarczą w Związku Sowieckim. Chcemy również ułatwić im nawiązywanie kontaktów gospodarczych z Zachodem.

Red:- Jaka jest struktura fundacji?

W.S.-: Istnieje Rada Fundatorów. W jej skład wchodzi osoby, które poprzez swój wkład finansowy czy organizacyjny zainicjowały powstanie Fundacji. Rada wybiera czteroosobowy Zarząd i Prezesa Fundacji. Dążyliśmy do tego żeby nasza struktura organizacyjna była maksymalnie odbiurokratyzowana i sprawna.

Red:- W jaki sposób można zostać członkiem Fundacji?

W.S.-: Nasz statut nie przewiduje członkostwa, można natomiast zostać przyjacielem Fundacji. Może nim być każda osoba, która zadeklaryje jakąś pomoc finansową na jej rzecz. Koło Przyjaciół Fundacji działałoby w podobny sposób jak np. Koło Przyjaciół KUL. Nie ustaliliśmy jeszcze w jaki sposób uhonorować tych, którzy część swoich dochodów poświęcają na cele społeczne. Myślimy między innymi o ogłoszeniu listy naszych sponsorów w prasie poznańskiej.

Red:- Jakie są najbliższe plany fundacji?

W.S.-: W tej chwili czekamy na rejestrację, która się przedłużyła ponieważ zdecydowaliśmy, że patronat nad nami obejmie MEN. Niestety Ministerstwo podobnych wniosków ma więcej. Ta rejestracja usankcjonuje tylko prawnie naszą działalność, lecz zasadniczo nic w niej nie zmieni. Ostatnio np. ZHR zwróciło się do nas z propozycją przyjęcia Polaków z ZSRS na prowadzone przez nich obozy harcerskie. Przecież nie odłożymy z nimi rozmów tylko dlatego, że nie mamy rejestracji. Ostatnio też powołaliśmy sekcję interwencyjną.

Red:- Dziękuję za rozmowę i życzę sukcesów w dalszej działalności. Jednocześnie w imieniu redakcji „Solidarności Walczącej” chciałbym zadeklarować, że fundacja może zawsze liczyć na naszą pomoc w miarę naszych skromnych możliwości.

ANATOMIA WIELKIEJ WIZJI

Pojawienie się na rynku czytelniczym książki Andrzeja Flisa* jest co najmniej wydarzeniem godnym odnotowania. Nie chodzi przy tym wcale o fakt ukazania się dzieła za wszechmiar wybitnego, czy też o debiut autora mającego stać się wkrótce uznanym w świecie ekspertem w dziedzinie anatomii marksizmu - rzecz idzie raczej o to, że "Antynomie wielkiej wizji" są chyba pierwszą polską pracą naukową dotyczącą filozofii marksizmu, która ma szansę stać się wzorcowym przykładem rzetelnego, skrócowego, aczkolwiek i nieco standartowego ujmowania tematyki trudnej i wielce złożonej. Nie widzę zresztą niczego złego w naz-



waniu tej pracy - przeciętną (w pewnym, wcale nie dyskwalifikującym sensie). Mało tego, śmiem sądzić, iż pojawienie się tej pracy winno stworzyć precedens, za którym nastąpi ilościowy wzrost tego typu literatury. Książki tego rodzaju stanowią na Zachodzie bogate treściowo zaplecze dla rozwoju wielu dyscyplin wiedzy poświęconych polityce i dopóki nie uda nam się odtworzyć w kraju podobnej hierarchii na rynku książki naukowej, dopóty też nie ma co marzyć o - w miarę zorganizowanym i stabilnym życiu naukowym (tam, wygląda to w ten sposób, że jest mnóstwo książek przeciętnych i nieliczne wybitne, u nas najczęściej nie ma ani jednych, ani drugich).

Wszystko co napisałem powyżej w żadnym razie nie dyskredytuje omawianej książki czy jej autora. Sama praca zasługuje, jak najbardziej na uwagę, a tezy w niej zawarte, na poważne rozważenie. Brak interpretacyjnej "przebojowości" jest w pracy Flisa zrekomensowany solidnością i rzetelnością prowadzonych analiz, a pewna oszczędność i monotoność wywodu - logiką i konsekwencją argumentacji.

Pewnym niebezpieczeństwem jest jednak zacząć czytać tą książkę od samego jej początku, to jest od przedmowy napisanej przez Jadwigę Staniszkis. W swoim krótkim, otwierającym książkę Flisa eseju, sugeruje ona, nazbyt chyba otwarcie, możliwość zestawienia analizy A. Flisa z obecną sytuacją polityczną krajów pod-

danych procesowi „wielkiej transformacji” oraz możliwość wyprowadzenia stąd jakichś ciekawych konkluzji. Wytwarza ona tym samym pewien próg oczekiwań i nadziei, z którymi przystępujemy do lektury. Te nadzieje jednak, ze względu na charakter całej książki mogą zostać łatwo zawiedzione. Autor „Antynomii wielkiej wizji” zdając sobie doskonale sprawę z zasadniczego dla marksizmu i ogólnie złowrogiego znaczenia postulatu „jedności teorii i praktyki”, sam w swojej pracy, łączenia obu tych momentów zdaje się unikać. Książka ta, nie zawiera więc ani żadnych większych dygresji na tematy polityczne, ani też refleksji czysto historycznej. Jak pamiętamy w II tomie „Głównych nurtów marksizmu” Kołakowski opisuje szeroko tzw. kryzys ziemmerwaldzki, który oznaczał faktyczny rozpad „międzynarodówki pokoju” a następnie stara się zrozumieć na czym mógł polegać wpływ tych wydarzeń na rozwój marksizmu. Inaczej niż Kołakowski, autor „Antynomii wielkiej wizji” nie śledzi tego typu powiązań i relacji. Interesują go, prawie wyłącznie, wewnątrzteoretyczne napięcia i paradoksy jakie produkuje doktryna. Jak mówi sam tytuł pracy, jej zasadniczym tematem są antynomie marksizmu i to one według Flisa tworzą zasadniczą strukturę doktryny.

Antynomiczność i wewnętrzna niespójność marksizmu wynikają z wielkiego zakresu stanowisk obejmowanych tym mianem oraz z wieloznaczności poglądów samych jego twórców. Weźmy na przykład to ostatnie. Flis pokazuje, iż istnieje, nawet u Marksa, zasadniczy rozdział na teorię i praktykę, który każe brodatemu filozofowi, raz - gdy

chodzi o konstrukcję teoretyczną - stwierdzać podrzędność instytucji względem środków produkcji, a dwa - gdy idzie o doraźną taktykę partyjną - przyznawać w przemianach ustrojowych wielką rangę np. burżuazyjnemu parlamentowi.

Jednoczynnikowa i wieloczynnikowa wizja dziejów, demokratyczna i aktywistyczna interpretacja historii, „nieskończoność dialektycznego procesu” i „koniec historii” - te i inne, immanentnie właściwe tej doktrynie antynomie zdają się rozszalać, spójną na pozór, strukturę tzw. „socjalizmu naukowego” oraz przydają marksizmowi wyjątknie utopijno-ideologiczny charakter.

Zajmując się historią doktryny marksistowskiej musiał też A. Flis zainteresować się „nieśmiertelnym” problemem stosunku Lenina do Marksa. Utrzymuje on, że pomimo tego, że występuje między nimi widoczna „zależność genetyczna”, to z drugiej strony dzieli ich ogromna „przepaść teoretyczna”. Marksowska koncepcja proletariatu jest - zasadniczo rzecz biorąc - antropologiczno-romantyczna, podczas gdy koncepcja Lenina - empiryczna i paternalistyczna.

Jedną z wad tej książki jest jej zbytnia Jerudycyjność, co widać dobrze, na przykład w ilości cytatów; przytoczeń wplecionych w zasadniczy tekst. Mimo tego kompozycja całości jest dość oryginalna, a hasłowe i dobrze dobrane tytuły rozdziałów pozwalają traktować książkę Flisa nawet jako mini-podręcznik.

Piotr PRZYBYSZ

*(Andrzej Flis, Antynomie wielkiej wizji. Kraków 1990.)



KTO WYBUDOWAŁ BASZTĘ GIEDYMINA?

Niepodległościowe przebudzenie Litwinów połączone jest z narastającym konfliktem z mniejszością polską. Sytuację wzajemnych waśni i nieporozumień jak na razie wykorzystuje Kreml bez prób przeciwdziałania ze strony polskiej.

Skomplikowany splot stosunków polsko-litewskich rozpoczął się od zawarcia unii w Krewie /1385/. Wcześniej Litwa z łatwością podbiła Ruskie księstwa uwalniając je od tatarskiej niewoli. Uzależnienie Rusi zapoczątkowało przenikanie elementów ruskiej kultury na społeczeństwo litewskie. Unia polsko-litewska ograniczyła oddziaływanie ruskiej kultury.



W ciągu czterystu lat wzajemnego sąsiedztwa litewska szlachta i magnateria przyjmowała polską mowę, kulturę i obyczaje. Stopniowo język litewski został zepchnięty do języka warstw nieoświeconych. Każda wybitniejsza jednostka urodzona na Litwie stawiała się kulturowo Polakiem choć pod względem pochodzenia przyznawała się do litewskości rozumianej jako przywiązanie do „prywatnej” ojczyzny. Przebudzenie narodowościowe na Litwie, które nastąpiło pod koniec XIX wieku, główne zagrożenie widziało w kulturze polskiej a nie rosyjskiej. Rozwój nacjonalizmu litewskiego od początku był skierowany przeciwko Polakom. To niewątpliwie zaważyło na odrzucaniu przez Litwinów polskich planów federacji pomiędzy obydwojema krajami. Wobec rozbuchanych nacjonalizmów i rosnącej popularności doktryny państwa narodowego plany Józefa Piłsudskiego nawiązujące do tradycji Wielkiego Księstwa Litewskiego, w którym rozmaite nacje i wyznania żyły we wzajemnym poszanowaniu, okazały się naiwnym idealizmem.

Jednakże los małych państw tego regionu zależał od losu największego państwa Europy środkowej — Polski. Po porozumieniu się hitlerowskich Niemiec z komunistycznym ZSRS, Polska i również

pozostałe kraje tego regionu zostały podzielone pomiędzy strefy wpływów obu agresorów. „Oddanie” Wileńszczyzny Litwie, a potem wchłonięcie Litwy przez ZSRS wcale nie poprawiło stosunków polsko-litewskich. Represje szauliasów były na pewno łagodniejsze niż terror i masowa eksterminacja dokonywana przez oba totalitarne państwa. Jednakże były one na tyle dotkliwe i bolesne by zaciążyć nad dalszym rozwojem stosunków polsko-litewskich.

Pod II wojnie światowej inteligencja na Wileńszczyźnie została albo repatriowana do Polski, albo deportowana na Syberię. Zastąpiła ją nieliczna warstwa komunistycznego chowu. W ten sposób mniejszość polska dawniej promieniująca kulturowo w ciągu 45 lat komunistycznego panowania została zepchnięta do roli pariasów. Łatwo więc daje się manipulować ze strony KGB czy KPZR. Niestety, Litwini ze swojej strony też nie wykazują zbyt wielkiej wyrozumiałości i tolerancji dla mniejszości zamieszkujących ich kraj. Podosycany z zewnątrz antagonizm polsko-litewski narasta. Dwa narody tak ciężko doświadczone przez sowiecki imperializm zamiast współdziałać zacięły się kłóć. O wszystkim. O nazwy ulic, o mszę w języku polskim, o rolę AK, o to nawet, kto wybudował XIV-wieczną basztę Giedymina.

Niestety rozwiązaniu konfliktu polsko-litewskiego nie służy kunktatorska polityka obozu Solidarności, najpierw w wykonaniu Mazowieckiego, a teraz Wałęsy. Zamiast bezwarunkowo uznać niepodległość Litwy, zwlekamy. Poparcie niepodległościowych dążeń Litwinów usunęłoby w zapomnienie na pewno sporą część niechęci i nieufności jaką żywią do siebie oba narody. Polacy, manipulowani przez KGB przestaliby też szukać pomocy w Moskwie. Niestety my bezczynnie czekamy. Lansuje się za to koncepcję dwupoziomowej dyplomacji — z ZSRS, ostatnim państwem kolonialnym świata — i z poszczególnymi republikami czyli, Panu Bogu ogarek, a diabłu świeczkę. Tracimy w ten sposób, największą być może w XX wieku szansę ułożenia dobrosąsiedzkich relacji z ościennymi narodami. Nasz los i miejsce w tej części Europy nie zależy tylko od tego jak ułożymy sobie stosunki z moźnymi tego świata, ale również od tego jak będziemy współżyć z jego maluczkimi — Czechami, Słowakami, Ukraincami, Białorusinami, Litwinami itp. My tymczasem po raz kolejny zasypujemy gruszek w popiele.

Krzysztof BRZECHCZYN

Ojciec A.G. z Zakonu Redemptorystów, który od przeszło 20 lat czyni posługi kapłańskie dla Polaków na Litwie twierdzi, że ich udział w referendum za niepodległością był z góry do przewidzenia. Jeśli ktoś oczekiwał innego wyniku znaczy to, że niewiele, albo nic nie wie o sytuacji, jaką Litwini stwarzają Polakom zamieszkującym tę republikę.

Polska polityka zagraniczna wobec Litwy, a także i Polaków tam mieszkających jest dwutorowa. Zapoczątkowano ją — tak jak i wobec Estonii, Ukrainy i Białorusi — zaraz po zadeklarowaniu przez nie dążeń do suwerenności. Ta dwutorowość — co bardziej złośliwi twierdzą, że stosuje się tu stare polskie powiedzenie „Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek” — to nic innego, jak podtrzymanie względnie dobrych stosunków z Moskwą, a jednocześnie dążenie do tego: a w wielu dziedzinach, poza strefą militarną i pewnych zagadnień wielkiej polityki, stosunki Polski z republikami pozostałymi w obrębie ZSRS, lecz aspirującymi do pewnej samodzielności w kontaktach ze światem, były takie same jak z innymi suwerennymi państwami.

Polityka „świeczki i ogarka” budziła i nadal budzi spore zastrzeżenia. Nie po raz pierwszy wypowiadali się na jej temat posłowie stwierdzając m.in., że jest ona nie zrozumiała dla szerkich kręgów społeczeństwa tak polskiego, jak i Polaków żyjących m.in. na Litwie. Ten temat podejmowano również i w czasie niedawnej debaty w Sejmie nad exposé dotyczącym polityki zagranicznej Polski wygłoszoną przez ministra spraw zagranicznych Krzysztofa Skubiszewskiego.

Jeszcze bardziej radykalne stanowisko w tych sprawach zajmuje Partia Konserwatywna. Na niedawnym spotkaniu w Warszawie wyraźnie postulowała konieczność upomnienia się o interesy Polaków II Rzeczypospolitej, którzy nie z własnej winy i chęci pozostali na Wschodzie. Zdaniem tej partii nie poparcie przez władze RP polskiego samorządu narodowo-terytorialnego na Litwie w obawie, że z podobnym żądaniem mogą wystąpić inne grupy mniejszości żyjących w Polsce, jest działaniem prolitewskim, ze szkodą dla spraw Polaków tam zamieszkujących. Powiedziano sporo, ale...

Mówiąc o sprawach polskich w Sejmie, minister K. Skubiszewski akcentował ważność opieki nad Polakami żyjącymi w ZSRS i pomoc w realizacji ich spraw jako mniejszości narodowej. Ale wyraźnie podkreślił, że prace te przebiegają wolno i wiele jest jeszcze do zrobienia. Sądzą, że jak zwykle w dyplomacji i tym razem powiedziano sporo, ale nie wszystko i nie do końca...

Polska, która wyzwoliła się z zależności od ZSRS usilnie zabiega

Polak i Litwin w jednym domu stali...

o wejście do struktur europejskich. Tym z kolei zależy na stabilizacji w ZSRS i utrzymaniu przy władzy Gorbaczowa. Jeśli dodamy do tego rolę jaką ZSRS odgrywał w konflikcie nad Zatoką Perską i ostatnią wizytę Primakowa w Iraku, staje się jasne, że jakiegokolwiek zaostrenie stosunków z ZSRS jest nie na rękę nie tylko Polsce, ale i państwu sprzymierzonym.

Osobną sprawą jest stacjonowanie wojsk sowieckich w Polsce. Jeśli mimo toczących się rozmów w sprawie ich wycofania, dowódca wojsk grupy północnej, stacjonującej w Polsce, gen. Dubinin mówi, że „wyjdziemy kiedy będziemy chcieli i jak będziemy chcieli”



tn, że ten syberyjski niedźwiedź — mimo że targany jest wewnętrznymi konfliktami — czuje się na tyle mocny, że wystarczy machnięcie jedną łapą, aby w Polsce zapanował chaos.

I wreszcie rzecz najważniejsza, Polacy żyjący na Litwie. Co sądzą o Macierzy, która niezbyt śmiało upomina się o ich interesy? Ojciec A.G. z Zakonu Redemptorystów, który zna Litwę i jej sprawy polskie, twierdzi, że odpowiedź na to pytanie padło w referendum za niepodległością Litwy.

Nader słaba frekwencja Polaków w referendum jest wynikiem dwóch przyczyn. Pierwszej, wynikającej z obawy przed Litwinami. Znaczna część Polaków boi się Litwinów i ich niepodległości. Najzwyczajniej w świecie nie wierzą im. Niektórzy wręcz twierdzą, że po uzyskaniu niepodległości przez Litwę, wielu z nich musiałoby opuścić ten kraj. Zbyt świeżo mają jeszcze w pamięci czas, kiedy Rada Najwyższa Litwy za jedyny język urzędowy, nawet w obwodach gdzie ludność polska stanowiła więcej niż 50% mieszkańców, uznawała wyłącznie litewski, a do wszystkich nazwisk polskich dopisywano wbrew woli Polaków końcówki „as” lub „is”. Nawet Adam Mickiewicz nazywa się tam „Mickiewiczzius”.

Przyczyna druga, to świadomość, że Polska nawet w krytycznym mo-

mentcie nie upomni się zdecydowanie o ich interesy. To przekonanie wynika m.in. z faktu, że gdy podjęto decyzję o powołaniu wileńskiego obwodu terytorialno — narodowego, Polska nie poparła tej inicjatywy uważając, że Polacy powinni szukać zaspokojenia swych ambicji raczej czynnie uczestnicząc w strukturach różnych organizacji społecznych i politycznych, zamiast tworzyć wspomniane obwody. Nic za darmo.

Gdyby dziś Polska zdecydowanie upomniła się o interesy Polaków na Litwie, musiałoby to pogorszyć stosunki z Moskwą, która wyraźnie oświadcza, że każdy przejaw mieszania się w jej

sprawy wewnętrzne uzna za akt wrogi wobec ZSRS. (Pogorszyłaby też tym bardziej stosunki z Litwą, która odczułaby to jako zamach na swe niepodległościowe aspiracje — przyp. red.).

Czy więc w sytuacji, gdy wojska sowieckie stacjonują w Polsce, a kilkadziesiąt dywizji ma przejeżdżać z byłej NRD przez nasze terytorium, można podejmować działania mając na względzie tylko i wyłącznie obronę polskich interesów na Litwie? Racja stanu i sytuacja wymaga od polityki polskiej, tym większej cierpliwości, odpowiedzialności i dalekowzroczności, a przede wszystkim podjęcia uregulowania wzajemnych stosunków z korzyścią dla obydwu społeczności polskiej i litewskiej. Potęga sowiezizmu jest nadal wielka i nie wiadomo co mogłoby się stać, gdyby siły konserwatywne, a takie próby są czynione, wzięły górę.

Tak więc nie niechęć i brak zainteresowania sprawami polskimi stwarza na Litwie sytuację taką jaka jest. Ale przede wszystkim priorytety celów i współzależności powodują, że we współczesnym świecie nic nie ma za darmo. Za jedno ustępstwo trzeba płacić innym...

Zbigniew RÓŻAŃSKI

AFIP

Stowarzyszenie Americans For Independent Poland zawiązało się w 1988 roku w Stanach Zjednoczonych. Jest związkiem ludzi połączonych wspólnym celem pogłębienia przyjaźni między narodami Polski i Stanów Zjednoczonych. Głównym celem Stowarzyszenia - jak czytamy w jego statucie - jest „rozpowszechnianie idei niepodległego, suwerennego i demokratycznego państwa polskiego w społeczeństwie amerykańskim. AFIP nie jest związane z żadną partią czy ugrupowaniem politycznym, jednakże współdziała z organizacjami o podobnej orientacji politycznej”. Swe cele stara się realizować sygnalizując i wywierając presję na rząd USA poprzez akcje masowego pisanie listów czy to do prezydenta, czy też do senatorów lub kongresmenów swojego Stanu lub regionu. Poprzez głos i opinię wyrażoną w liście organizacja (czy osoba) akcentuje swoją wolę, czyli wolę osoby, która już niebawem będzie powtórnie głosować, bądź w wyborach prezydenckich, bądź w wyborach regionalnych. Im więcej owych listów zostanie wysłanych, tym głos w danej sprawie nabiera mocy i siły. Pan Czesław Jamer - członek AFIP i redaktor naczelny miesięcznika „Myśli Polityczne” - w jednym z listów do naszej redakcji dodaje: „nie ukrywam, że chodzi nam o głos w interesie Polski suwerennej, w pełni niepodległej, niezależnej i demokratycznej, a więc z pewnością nie Polski o kształcie jaki przybrała gdy prezydentem został Lech Wałęsa”.

Wkrótce po powstaniu, AFIP zaczął wydawać skromny 1-stronicowy biuletyn pt.: „Myśli Polityczne”. Powoli pismo rozrosło się do obszernego, ciekawie redagowanego 40-stronicowego miesięcznika. Mimo, iż nie wydawane w profesjonalnej technice drukarskiej (ksero), to niewątpliwie na rynku prasy polskojęzycznej ukazującej się w Stanach jest - ewenementem. Czteruosobowa redakcja potrafiła uchronić pismo (tu dodam - i polską emigracyjną myśl polityczną) od dusznego powiewu „przemian” pookragłostołowych, powiewu któremu uległy (w większości) „wielonakładowe” (parotysięczne) gazety emigracyjne w USA, jak i sam Kongres Polonii Amerykańskiej. „Myśli Polityczne” dostrzegają i piszą o wielu sprawach i tematach, o których najczęściej milczy polskojęzyczna prasa w USA. Poziom techniczny gazety mógłby zostać podniesiony poprzez znalezienie sponsora (jak czyni to wiele gazet emigracyjnych) wśród np. Pewexu, LOT-u itp. Redakcja wyklucza jednakże taką możliwość - „Myśli Polityczne będą biedne, lecz czyste od strony wpływu na ich kształt najróżniejszych komunistycznych, socjalistycznych czy też lewicujących rewolucjonistów i ich sprzymierzeńców”. Pismo swą stylistyką, podejmowanymi tematami i wartościami, których broni - chlubnie kontynuuje tradycje i wartości pism wojennej, niepodległościowej emigracji politycznej. W tym też tkwi jego niezwykłość i wartość.

Kończąc, warto to jeszcze dodać, AFIP poparł kandydaturę Kornela Morawieckiego w niedawnych wyborach prezydenckich. Dwutygodnik „SW” nawiązał współpracę redakcyjną z redakcją „MP”.

„BITWA O WAŁĘSĘ”

PIOTRA WIERZBICKIEGO

W czerwcu bieżącego roku, nakładem Wydawnictwa Tygodnika Solidarność, ukazała się książka Piotra Wierzbickiego pt. „Bitwa o Wałęsę”. Autor, z właściwą sobie pasją, stara się przekonać czytelnika, że Wałęsa przez ostatnie lata tylko odgrywał swoją rolę, że skrywał swoje prawdziwe oblicze aby teraz, w decydującym momencie, który zresztą przewidział, rzucić maskę i stać się sobą – jednym z najgłówniejszych polityków w historii Polski. Można by na to wszystko tylko wzruszyć ramionami, gdyby nie osoba autora. Piotr Wierzbicki jest bowiem człowiekiem uczciwym i nieprzekupnym. Gdy coś mówi, nie robi tego dla osobistej korzyści, lecz jest o tym głęboko przekonany.

Książka „Bitwa o Wałęsę” ukazała się w decydującym momencie, gdy Wałęsa rozpoczął kampanię prezydencką. Miesiąc przed jej pojawieniem się na rynku, Wałęsa zdystansował się od swych dotychczasowych doradców a nawet wypowiedział im wojnę. Nie po raz pierwszy w swej karierze politycznej Wałęsa zdradził najbliższych współpracowników. Dokonuje tego zawsze, gdy wyczuwa, że ci ludzie są mu już niepotrzebni, że z tych czy innych względów ich rola i znaczenie skończyło się.

Wierzbicki nie od wczoraj jest zwolennikiem Wałęsy. Zawsze w niego wierzył i na wiele lat przedtem, w swej głośnej książce „Myśli staroświeckiego Polaka”, poświęcił mu wiele ciepłych słów. Teraz, aby mocniej uwiarygodnić się w oczach czytelnika, powołuje się na nie.

„Bitwa o Wałęsę” różni się dość znacznie od poprzednich książek Wierzbickiego. Do tej pory zastrzegał się, że może mylić się w swych ocenach, że nie jest dobrym politykiem, że się na czymś nie zna. Jest to stara metoda zdobywania zaufania czytelnika, z powodzeniem zastosowana kiedyś przez Jana Jakuba Rousseau, z fatalnym dla ludzkości skutkiem. W „Bitwie o Wałęsę” Wierzbicki nie wyraża już tych wątpliwości. Jest całkowicie pewny swego i wręcz domaga się, aby mu wierzyć.

Czy rzeczywiście można mu wierzyć?

Wiele lat temu, na początku lat 70-tych, Piotr Wierzbicki, napisał głośną książkę „Traktat o gnidach”. Była to druzgocąca i przekonująca krytyka polskiego inteligenta, jego upodlenia w warunkach systemu komunistycznego. Autor, zamiast swój talent i pasję użyć do zdemaskowania pawłowskich metod niszczenia charakterów jednostek i korumpowania całych społeczeństw, na cel swego ataku wziął nie system, lecz jedną z jego ofiar i nie zostawił na niej przysłowiowej suchej nitki. W kilka lat później, gdy pojawiła się Solidarność, nagle okazało się, że owe gnidy myślą całkiem rozsądnie i działają odważnie. Po in-

ternowaniu w stanie wojennym, Wierzbicki napisał uzupełnienie do swojego traktatu i odwołał wszystkie swe oskarżenia. Przyznał uczciwie, że się pomylił i na tym sprawa została zakończona.

Podziwiam liczne talenty i bystrość umysłu Piotra Wierzbickiego, zgadzam się całkowicie z jego poglądami odnośnie kapitalizmu, związków zawodowych, lewicy, demokracji, roli jednostki w tworzeniu historii, itd, natomiast gdy chodzi o wyciągnięcie wniosków końcowych, różnimy się w sposób zasadniczy. Zrozumiałem to wyraźnie w czasie jednego wieczoru, gdy przysłuchiwałem się jego wystąpieniu pod koniec 1987 roku w Fundacji Kościuszkow-



skiej w Nowym Jorku.

W pierwszej części tego wystąpienia Wierzbicki dokonał szczerą samokrytyki za swoje niestudne oskarżenia polskiej inteligencji, owych gnid. W drugiej, z właściwą sobie pewnością i logiką udowadniał, że w najbliższych latach nie można liczyć na wielkie przemiany w Polsce. Zabawił się nawet w proroka i powiedział, że prawdziwe przemiany, jeśli kiedyś nastąpią, to nie będą one dziełem ludzi typu Moczulskiego, Kuronia czy nawet Wałęsy, lecz typu Mirosława Dzielskiego. Natomiast jeśli o niego samego chodzi, to będzie zadowolony gdy w wyniku tych przemian dojdzie na przykład do otwarcia na rogu jego ulicy jeszcze jednej piekareni z chrupiącymi bułeczkami. Część sali oniemiała, druga natomiast biła gromkie brawa. Pamiętam też arogancką wypowiedź dziennikarza nowojorskiego „Nowego Dziennika”, w której z wyższością wtajemniczonego, wyśmiał żonki „wymachujących szabelką niepodległościowców”, z czym Wierzbicki się zgodził.

Działo się to niedługo po podróży Leszka Moczulskiego i Romualda Szeremietiewa po Stanach, którzy chociaż z odmiennych pozycji głosili tę samą tezę, że komuna się wali, że niepodległość jest tuż, tuż, że trzeba tylko zmobilizować się do ostatecznego wysiłku i zadać jej nokautujący cios. Potem

Wierzbicki przejechał się ich trasą i ostudził rozgorączkowane głowy.

Tymczasem, wbrew opinii Wierzbickiego i nowodziennikowego „relisty”, komuna ruwała w ciągu następnych dwóch lat. Na nieszczęście jednak, nie ci, którzy mieli wizję jej obalenia i wizję odrodzenia Niepodległej Rzeczypospolitej, byli przywódcami przemian. Rolę tę przejęła, znienawidzona przez Wierzbickiego lewica, która mając za sobą autorytet Lecha Wałęsy, z całą świadomością wymanewrowała te przemiany w kierunku uzgodnionym z komunistami w Magdalenie.

Nie wiem co na ten temat ma teraz do powiedzenia Wierzbicki. Przypuszczam, że swoim zwyczajem uczciwie przyznał się do błędu i uznał sprawę za zakończoną.

Te dwa przykłady powinny dać dużo do myślenia czytelnikom jego książek i artykułów. Można podziwiać Wierzbickiego jako znakomitego publicystę i polemistę, nawet jako filozofa, bo daje bardzo trafne definicje złożonych zjawisk społecznych, ale nie można mu ufać. Jest po prostu złym politykiem, nie umie przewidzieć przyszłości i przygotować ludzi do wykorzystania nadarzającej się okazji. Gorzej, swoim talentem i mocą przekonywania odwołuje ludzi od racjonalnego działania, demobilizuje ich i zniechęca, lub wskazuje im niewłaściwy kierunek.

W „Bitwie o Wałęsę” Wierzbicki stawia kilka tez: Lech Wałęsa jest wielkim politykiem; ma czyste ręce i sumienie; jest jedynym kandydatem na Prezydenta RP, którego w tej chwili potrzebuje Polska. Najbardziej w książce niepokoi to, że autor dla udowodnienia swych tez posunął się nie tylko do bałwochwalczych ułkonów w kierunku swojego idola, ale do kilku przeinaczeń faktów i wielu przemilczeń. Książka musiała być pisana w pośpiechu, bo są w niej także obce Wierzbickiemu zaprzeczenia samemu sobie.

Przystąpmy teraz do jej krytycznej analizy.

Wierzbicki dołączył do grona nadwornych cmokierów, którzy Wałęsę, przez 10 lat marionetkę w rękach sprytnych intrygantów, porównują do Marszałka Piłsudskiego. Dlaczego szargać pamięć twórcy polskiej niepodległości? Czy nie ma innych wzorów? Że niby obaj byli piekielnie chytry? Piłsudski był wybitnym strategiem o wielkiej wizji, do realizacji której dążył z żelazną konsekwencją. Może był też chytry, ale ta chytryść służyła Polsce. Chytryść Wałęsy jak dotąd służy tylko jemu samemu. Dzięki niej zarabiał nawet na reklamach Philip – Morrisa i AFL – CIO.

Według Wierzbickiego chytryść Wałęsy polega na umiejętności siedzenia cicho, na ukrywaniu swych myśli (do czego ma słu-

żyć jego mowa), na nie dowierzeniu nikomu i nie czytaniu uczonych dzieł.

Rzeczywiście Wałęsa potrafi w pewnych momentach siedzieć cicho. Jest to na ogół wtedy, gdy nie ma wokół siebie nikogo mądrego, który by mu powiedział co robić. To prawda, że Wałęsa siedział cicho w czasie internowania. Podobno przez wiele miesięcy nie mógł dojść do siebie i nie wierzył, że jest internowany, bo niby jak mogli ludzie, z którymi spędził tyle czasu na konspiracyjnych rozmowach, zrobić mu coś takiego.

Prawdą też jest, że słuchając na żywo mowy Wałęsy nie bardzo wiadomo o co mu chodzi. Równie trudno dopatrzeć się sensu w jego wywiadach, chociaż zostały one opracowane pod względem składni i gramatyki. Wierzbicki uznaje to jednak za wielką zaletę polityka. Wierzbicki cieszy się, że nie rozumie co Wałęsa mówi. Tymczasem prawda jest taka, że Wałęsa ma niewiele do powiedzenia. Jeśli mówi do rzeczy to dlatego, że mu ktoś napisał przemówienie, albo gdy jego pozycja jest poważnie zagrożona. W przeciwnym przypadku jest to zwyczajny bełkot. Wałęsa jednak nie musi się tym przejmować, bo zawsze znajdują się usłudźni, którzy przetłumaczą to na ludzki język. Poza tym, a to zdarza się najczęściej, następnego dnia może odwołać to co nieopatrznie powiedział poprzedniego tłumacząc się, że źle go zrozumiano.

Wierzbicki cieszy się, że Wałęsa nikomu nie dowierza. Píše z zachwytem: „Polityczna dusza Wałęsy jest mroczna, skryta, chytra i do tego potwornie podejrzliwa”. Nieco dalej jednak pisząc o stylach prezydenckich, przedstawia styl Reagana stylowi Cartera. Carter nikomu nie dowierzał i całą robotę, od świtu do późnej nocy, robił sam doprowadzając kraj do ruiny gospodarczej i upadku prestiżu. Reagan natomiast wysypiał się przez 12 godzin dziennie i całą robotę zwał na swój sztab, któremu ufał ze wzajemnością. Nie trudno zgadnąć, że Wierzbicki przypisuje Wałęsie styl reaganowski. Węć jak jest z tym zaufaniem?

Dziwnie w ustach Wierzbickiego, który sam jest erudytą, brzmi pochwała nieuctwa Wałęsy. Wierzbicki przypisuje mu jednak nadludzkie zdolności i twierdzi, że nauka mogłaby zrobić z niego tylko „tuzinkowego półinteligenta”. Gdy Wałęsa zaprosił go na rozmowę do Gdańska, przeczytał podobno kilka zdań z „Myśli staroświeckiego Polaka” i to mu wystarczyło. Już wiedział co się święci. „Broni się. Piekielnie chytrze. Piekielnie inteligentnie. Do końca właściwie nie wiem co myśli” — pisze z czcią Wierzbicki.

Wierzbicki, nie jest jedynym, który w obecności Wałęsy poci się i traci rezon. Wybitny poeta, Czesław Miłosz, też z zachwytem przysłuchiwał się wywodom Wałęsy na temat czym powinna być poezja.

Wierzbicki cieszy się, że Wałęsa jest bezwzględny, że interesuje go władza, że w polityce ceni tylko siłę, że działania przeciwko sobie nie wybacza (chyba że przeciwnik dysponuje siłą), że idzie z tymi, którzy są silni, sprawni i skuteczni itd, itd. A więc polityka ma być tylko skuteczna? Nieważne są ideały, moralność, dobro innych?

Na tym tle śmieszne wręcz jest stwierdzenie, że Wałęsa „jak żaden inny reprezentant ruchu Solidarności udokumentował swe przywiązanie do zasad zachodniej demokracji”. A więc dowiadujemy się, że zachodnia demokracja to arena siły, zdrady i braku przebaczenia przeciwnikom. Takiego stwierdzenia można by spodziewać się po Wałęsie, który swym postępowaniem nieraz udowodnił, że nie ma najmniejszego pojęcia czym jest demokracja, ale nie po Wierzbickim, który dokładnie wie jak funkcjonują społeczeństwa demokratyczne.

W książce widać rozpaczliwe próby wybielenia Wałęsy. Na przykład Wierzbicki pi-

Jest kilka punktów w wywodach Wierzbickiego, z którymi się zgadzam, chociaż tłumaczyć je inaczej. Na przykład, że Wałęsa jest „jedynym w Polsce politykiem politycznie bezstronnym”. To prawda. Wałęsa nie ma i nie chce mieć własnej partii. Dołączy do każdej i dołączy do każdego, kto mu zapewni władzę albo pomoże w jej zdobyciu. Odrzuci każdy sojusz i nawet nie odpowie na wiernopoddańczy list, jeśli jest on podpisany przez kogoś, kto nie dysponuje siłą. Teraz poszukuje sojuszników wśród tych, którymi do niedawna gardził i obrzucał wyzwiskami. Wielu z nich daje się na to nabrać. Ta krótka pamięć niedługo zemści się na nich.



szę, że lewica od samego początku zwalczała Wałęsę, że w pierwszym okresie Solidarności, stawiała na Andrzeja Gwiazdę. Może i stawiała, ale w rezultacie postawiła na Wałęsę. Wybór okazał się trafny. Każdy, kto zna Andrzeja Gwiazdę wie, że nie jest on z tych co się dają manipulować a już tym bardziej co będą konspirować przeciwko interesom Polski. Takie stawianie sprawy przez Wierzbickiego jest zwyczajnym pomówieniem.

Wierzbickiemu potrzebne to było aby odsunąć od Wałęsy podejrzenia o jego największe wykroczenie przeciwko interesom Polski: jego długoletniej i zgodnej współpracy z lewicą. W rezultacie tej współpracy wielki ruch narodowy, Solidarność, został wyprowadzony w ślepy zaułek Magdaleny. Tej sprawie Wierzbicki nie poświęca prawie uwagi. Woli przemilczeć, gdyż tutaj trzeba by już było kłamać na potęgę. Natomiast prawie połowę książki poświęca zarzutom lewicy pod adresem Wałęsy, zarzutom, powiedzmy to wprost, bardzo świeżej daty.

Innym miniciem się z prawdą jest sprawa strajku w maju 1988 roku. Wierzbicki wie jak było ale woli powiedzieć, że Wałęsa do strajku przystąpił. Tymczasem Wałęsa został siłą wciągnięty za bramę stoczni, gdy przyszedł usprawiedliwić się wymachując zwolnieniem lekarskim. Może to drobnostka, ale znacząca. Starożytni mówili: „fałszywy w jednym, fałszywy we wszystkim” i mieli rację

Ponadto zgadzam się, że Wałęsa będzie lepszym prezydentem, niż gdyby to stanowisko objął ktoś z lewicy. Jest to jednak, moim zdaniem, wybór mniejszego zła. Wałęsa na pewno da szansę działania innym partiom i ludziom, ale pod jednym warunkiem: wszystkie niepowodzenia wezmą one na siebie a wszystkie sukcesy zostaną przypisane jemu.

Na zakończenie, bo czas kończyć, należy przypomnieć panu Wierzbickiemu, że wszystkie przymiotniki w języku polskim, z wyjątkiem dotyczących spraw Boskich, pisze się z małej litery. Píše się więc „wałęsowski” a nie „Wałęsowski”, bo Wałęsa wbrew temu co powiedział o sobie po wyładowaniu w Wielkiej Brytanii, jest wciąż osobą w jednej osobie.

Wierzbicki jest mistrzem gdy chodzi o logiczne uzasadnienie jakiejś tezy, nawet najbardziej niedorzecznej. Zawodzi jednak zupełnie, gdy przychodzi do konkretów. Niestety, nie uczy się na własnych błędach: nie umie poskromić swych pasji. Jego książka „Bitwa o Wałęsę” świadczy, że brnie w następną kabałę. Tym razem sprawa jest poważna, bo konsekwencje powodzenia książki poniesie cały naród. Za parę lat Wierzbicki przeprosi „nas czytelników”, że się pomylił i weźmie się za coś innego.

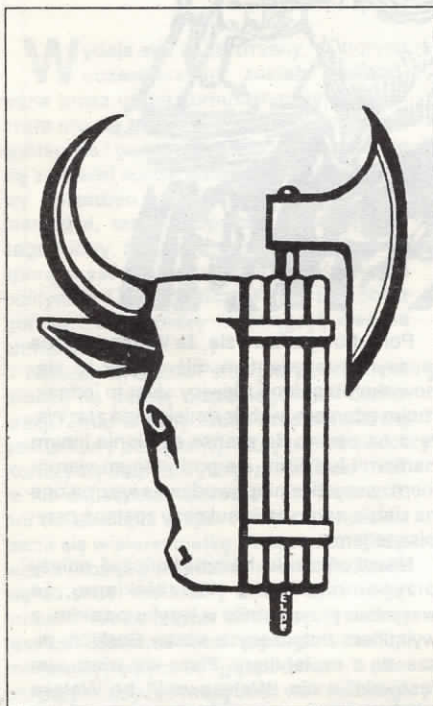
Andrzej CISEK

przedruk za: „Myśli polityczne” nr 6 wyd AFIP

W OBRONIE IZRAELA

Powinniśmy umieć mówić o Izraelu bez patosu, bez moralizatorstwa i bez sentymentalizmu, a wniosek, że kraj ten zasługuje na naszą sympatię - nie mimo, a właśnie z uwagi na okoliczności, w jakich się znalazł - wyciągnąć z kategorii czysto politycznych.

Z oceną wspomnianych okoliczności należy być ostrożnym. Annie Kriegel przekonująco dowodzi, że bunt w strefie Gazy należy do serii spontanicznych, trudnych do kontrolowania, natomiast łatwych do manipulowania demonstracji młodzieży, które wstrząsały światem w ostatnich latach, od Afryki Południowej po Koreę, że nie wspomnę o buncie licealistów paryskich w grudniu 1986 roku. Skala i kontekst tych zamieszek były różne, natomiast ich przebieg był zawsze gwałtowny, a cele dawały się bronić.



Izrael jest demokracją typu zachodniego. W demokracji obowiązują reguły i kanony moralne, które pewnych rzeczy zakazują. Demokracja izraelska nie dysponuje oddziałami policji wyspecjalizowanymi w uśmierzaniu buntów. Tłumienie ich spada zatem na powołanych pod broń obywateli, którzy muszą stosować najmniej dotkliwą z możliwych kombinacji bezwzględności i umiarkowania. Demokracja działa z podniesioną

przytłaczającą, te przykre operacje odbywają się zatem na oczach kamer telewizyjnych i dziennikarzy. W demokracji istnieje podział opinii publicznej, więc słychać już głosy protestu. Mimo to nie widać głębokiego rozłamu w społeczeństwie izraelskim, jak np. podczas wojny w Libanie. Przeciwnie, instynkt samozachowawczy każe Izraelczykom skupiać się wokół prawicy, bo chodzi o życie. Porządek trzeba przetrzymać za wszelką cenę. Dopiero potem można będzie myśleć o negocjacjach i ustępstwach.

Kiedy Izrael wywalczył niepodległość, na jego zdobytych terytoriach mieszkała liczna ludność arabska. W roku 1967 Izrael dokonał wyboru strategicznego, którego wady dostrzegamy dzisiaj. Przy podziale Palestyny w 1948 roku przypadły mu granice, które nie nadawały się do obrony. Granice zdobyte w wojnie sześciodniowej 1967 roku były - nawet po oddaniu Synaju w roku 1982 - nieco pewniejsze: z wyjątkiem strefy Gazy (tereny Filistynczyków) odpowiadają one mniej więcej granicom biblijnego Izraela. Izrael wybrał bezpieczeństwo zewnętrzne kosztem ryzyka irredukcji wewnętrznej. Obecnie państwu hebrajskiemu zagrażają nie sąsiedzi - nad którymi ma dostateczną przewagę wojskową - lecz arabowie zamieszkali na jego własnym terytorium, które okupuje, kontroluje lub wręcz uważa za własne (choć co do tego zdania są podzielone).

Izrael nie dysponuje ani politycznymi, ani moralnymi argumentami, które pozwoliłyby mu tę ludność ekspulsować. Demokratyczny kraj nie może uciec się do masowych i brutalnych deportacji, jakich dokonywały w XX wieku państwa, którym obca była demokracja i które w skutek tego cieszyły się pobłażliwością demokratów. Co więcej, takiemu rozwiązaniu sprzeciwia się w przypadku Izraela także stosunek sił. Problem zatem nabiera charakteru politycznego i demograficznego.

Chaim Weizmann zwrócił w 1931 roku uwagę, że syjoniści, zmagający się z niezliczonymi problemami, nie zwrócili w porę uwagi na nacjonalizm arabski. Narodził się on w Palestynie w chwili, kiedy przybyli tam pierwsi osadnicy żydowscy. Skierowany był nie tylko przeciwko nim, ale także przeciwko okupantowi tureckiemu i brytyjskiemu. Powołanym i zorganizowanym ruchem stał się dopiero podczas drugiej wojny światowej. W kształtowaniu się tego nowego, częściowo laickiego, „postępowego” i posługującego się frazeologią marksistowską nacjonalizmu nie miały udziału miało nastrojenie ruchu syjonistycznego. W

miarę jak żydowscy przybysze przetradzali się w nowoczesne społeczeństwo i państwo, palestyńscy Arabowie nieuchronnie musieli skłaniać się coraz bardziej do tworzenia kontrapołączeń i kontrapołączeń. Nawet Jerozolima nabrała w oczach Arabów mistycznego znaczenia pod wpływem kontaktów z judaizmem.

Wielu Izraelczyków miało nadzieję, że wrogość Arabów ustąpi wraz z postępującą integracją z nowoczesnymi społeczeństwami. Arabowie izraelscy cieszą się wykształceniem, zarobkami, opieką społeczną i przywilejami właściwymi państwu, o których nie może nawet marzyć przeciętny obywatel Syrii, Iraku lub Jordanii. Niestety - co było do przewidzenia - postęp zaostrzył tylko uczucia narodowe i nienawiść. Trudno zarzucić wykształconemu i zamożnemu Arabowi, że dotkliwiej odciąża upokorzenie narodowe aniżeli pastuch.

Zegar demografii wybija rosnące zagrożenie Izraela. Żydzi izraelscy są ostatnim bogatym i cywilizowanym narodem, który płodzi dużo dzieci. Mniej jednak aniżeli Arabowie. W Wielkim Izraelu żyje dziś 3,5 miliona Żydów i ponad dwa miliony Arabów, z których 60 % liczy mniej niż dwadzieścia lat. Rozwiązania nie widać żadnego, chociaż Żydzi wszystkich obediencji politycznych i niektórzy Palestyńczycy rozpaczliwie go poszukują. My, ludzie Zachodu, też nie widzimy wyjścia, powstrzymajmy się więc od udzielania lekcji.

Abstrahując od wszystkich przyczyn historycznych, religijnych, moralnych i innych, które każą szpatać z Izraelem, istnieją po temu również wskazania czysto polityczne. Izrael jest czymś znacznie więcej niż naszym sojusznikiem - jest częścią naszego świata. Nie jest wykluczone, że przy party do muru, będzie się starał uzyskać od Związku Sowieckiego to, co ten może zechcieć kłamliwie obiecywać: masową emigrację Żydów, których trzyma w rezerwie, i neutralizację ruchu palestyńskiego. Na szczęście nie jesteśmy jeszcze w tym punkcie.

Ponadto Izrael znajduje się w sytuacji, w której i my możemy z czasem się znaleźć. Spadek przyrostu naturalnego może także w europejskiej części Basenu Śródziemnomorskiego doprowadzić do napięć podobnej natury.

Alain BESANÇON

/Przedruk za: Konfrontacje nr 12, wyd. IDEE/

Numer zamknięto 1.05.1991 r. Wydawca: Wydawnictwo „WiS”. Redaguje: zespół. Adres redakcji: 61-120 Poznań 22, skr. poczt. 59. Stałe punkty kolportażu: Poznań - Klub „WiS” ul. Górna Wilda 106, pon-piąt. w godz. 8-18, tel. 33-00-91; Wrocław - Biuro Partii Wolności ul. Kotlarska 41 III p., tel. 38-236; Księgarnia „Drugi Obieg” Biblioteka Wojewódzka Rynek 58. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i zmiany tytułów w nadanych materiałach. Tekstów nie zamówionych nie zwracamy. Prenumerata: półroczna (gwarantuje otrzymanie 13 kolejnych n-ów) - cena 32.500 zł za pojedynczy egz. i 19.500 zł za każdy kolejny, np. po 2 egz. 23.500 zł + 19.500 zł. Prenumerata roczna (26 n-ów) - 63.000 zł za egz. pojedynczy i 39.000 zł za każdy kolejny. Przekazy pocztowe (z dokładnym adresem prenumeratora i ilością zamawianych egz.) prosimy kierować na adres wydawcy: Wydawnictwo „WiS”, 61-655 Poznań ul. Gromadzka 23.